

BP TOMASZ WILCZYŃSKI

OSTATNIE LATA ŻYCIA  
KSIĘDZA ANTONIEGO SZYMAŃSKIEGO  
– REKTORA KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO  
(1939-1942)\*

W momencie wybuchu wojny 1939-1945 przebywałem na urlopie i byłem nieobecny w Lublinie. Stąd też nie wiem, jak wyglądała sytuacja w mieście w czasie nalotów niemieckich, ewakuacji władz administracyjnych i oddziałów Wojska Polskiego. Nie wiem też, co się działo z profesorami i nieliczną grupą studentów, przebywających na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

9 listopada 1939 r. Gestapo przeprowadziło w Lublinie liczne aresztowania wśród miejscowej inteligencji, zarówno świeckiej, jak też i duchownej. Aresztowań dokonywano w mieszkaniach, a gdy chodzi o księży, nawet i na ulicach miasta. Każdy ksiądz, który pokazał się na ulicy w sutannie, zostawał zatrzymany i odstawiany do więzienia na Zamek. Puste dotychczas więzienie na Zamku lubelskim od tego dnia zaczęło szybko zapełniać się. Przypuszczano wówczas, że owe masowe aresztowania z 9 listopada 1939 r. były ze strony okupanta aktem represji za manifestacyjną procesję żałobną, urządzoną w dzień Wszystkich Świętych 1 listopada 1939 r. Inni natomiast sądzili, że aresztowania miały związek ze zbliżającym się świętem narodowym 11 listopada i obawą Niemców przed polityczną manifestacją, przygotowaną na ten dzień. Jednak późniejsze metody postępowania okupanta każą się domyślać prawdziwej, realnej przyczyny owych aresztowań. Była nią chęć wyniszczenia inteligencji polskiej.

---

BP DR TOMASZ WILCZYŃSKI (1903-1965) – ordynariusz diecezji warmińskiej jako delegat specjalny z pełną władzą biskupa rezydencjalnego.

Od 1939 r. był administratorem, a później proboszczem parafii Nawrócenia św. Pawła Apostoła w Bełżycach, gdzie dał schronienie wielu poszukiwanym przez Niemców kapłanom, między innymi ks. Antoniemu Szymańskiemu, rektorowi KUL i założycielowi TN KUL, acz gościł również bp. Stefana Wyszyńskiego. [Nota Redakcji „Summarium”].

\* Jest to przedruk tekstu z „Zeszytów Naukowych KUL” 5 (1962), nr 3 (19), s. 115-126, z niewielkimi modyfikacjami interpunkcji, acz z zachowaniem pewnych osobliwości ówczesnego stylu i ortografii.

Tegoż dnia aresztowano, we własnym mieszkaniu na uniwersytecie, i księdza rektora Antoniego Szymańskiego. Dwóch gestapowców, w ubraniu cywilnym, prowadziło go pieszo Krakowskim Przedmieściem na Zamek. U zbiegu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Kapucyńskiej eskortujący ks. Szymańskiego gestapowcy aresztowali także ks. prof. Zdzisława Golińskiego, obecnego biskupa częstochowskiego, a w dalszej drodze aresztowali jeszcze kilku księży. Całą grupę zatrzymanych kapłanów zaprowadzono, przez Bramę Krakowską i ulicę Grodzką, na Zamek. W tym czasie Zamek był prawie pusty. Przebywający w nim nieliczni więźniowie mogli swobodnie poruszać się do godzin wieczornych po korytarzach i celach. Pod wieczór tego dnia więźniowie, stale doprowadzani z miasta w mniejszych lub większych grupach, zostali posegregowani i otrzymali cele. Jeden ze strażników więziennych wywołał ks. Antoniego Szymańskiego, znajdującego się na oddziale piątym (mieszczącym się na II piętrze) w grupie księży lubelskich i ulokował go przypuszczalnie na oddziale czwartym, na pierwszym piętrze. Od tego momentu zerwał się więzienny kontakt aresztowanych księży lubelskich z księdzem rektorem Szymańskim.

Wielu przyjaciół Księdza Rektora przemyślało nad jego uwolnieniem. Połączone to było z dużym ryzykiem, bowiem starania o uwolnienie, zwłaszcza u wyższych niemieckich władz wojskowych, mogły przyspieszyć śmierć osoby uwięzionej przez Gestapo.

Do uwolnienia księdza rektora Szymańskiego przyczynił się ks. dr Wildman – kapelan armii niemieckiej, z pochodzenia wiedeńczyk, którego poznał u siebie na plebanii w Górnicy k. Garwolina ks. Adam Dawidczyk. On to prosił w Lublinie ks. Wildmana o podjęcie interwencji w sprawie uwolnienia Księdza Rektora.

Ksiądz Wildman wysunął wtedy w Gestapo koncepcję zamiany ks. Szymańskiemu więzienia na internowanie we własnym mieszkaniu na KUL i oddanie go pod dozór zamieszkujących tam oficerów Wehrmachtu. Projekt ten został przez Gestapo przyjęty i ks. Wildman przywiózł ks. Szymańskiego do jego własnego mieszkania, w którym też został internowany. Ksiądz Rektor, będąc u siebie, mógł jednak kontaktować się z ludźmi. W tym czasie odwiedził go m. in. prof. Jakubanis, który przyszedł do Księdza Rektora otulony kołdrą, gdyż ciepły płaszcz stracił w czasie wojny. Jednak grono bliskich przyjaciół Księdza Rektora zdawało sobie sprawę, że to jego internowanie może wkrótce skończyć się powtórным aresztowaniem, a w konsekwencji i śmiercią. Czyniono więc wszystko, aby przed tym Księdza Rektora uratować.

Obawa o życie Księdza Rektora wzmożła się, gdy do miejscowego społeczeństwa dotarła wstrząsająca wiadomość o masowych egzekucjach dokonanych

przez okupanta tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1939 r. na więźniach lubelskiego Zamku. Rozstrzeliwania niewinnych ludzi tylko za to, że byli Polakami, wywołały wśród mieszkańców Lublina przerażenie. W mieście dominowała przynębiająca i paraliżująca atmosfera terroru, niepewności jutra. I wtedy to właśnie przyjechali do Bełżyc z Lublina ks. Zygmunt Surdacki – ówczesny wikariusz generalny diecezji lubelskiej i panowie M. Tudrej i K. Gostkowski, przywożąc ze sobą księdza rektora Szymańskiego. Było to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1939 r.\*

### W BEŁŻYCACH

Od dnia 17 listopada 1939 r. pełniłem w Bełżycach obowiązki „tymczasowego administratora” parafii, po śmierci śp. ks. proboszcza Boruckiego. Nominacja moja na to stanowisko była ostatnią nominacją, jaka wyszła z Lubelskiej Kurii Biskupiej przed aresztowaniem ks. biskupa ordynariusza Mariana Leona Fulmana<sup>1</sup> i jego kanclerza ks. Zdzisława Ochalskiego<sup>2</sup>; wystawiona bowiem była w dniu ich aresztowania, tj. 16 listopada 1939 r.

Ks. Z. Surdacki<sup>3</sup> przedstawił mi grożące Księdzu Rektorowi niebezpieczeństwo, o ile pozostanie nadal w Lublinie, i zaproponował, abym zaprosił do siebie ks. Szymańskiego na razie na kilka dni, a później, gdyby zechciał, to i na stałe.

---

\* W tej sprawie uzyskano następujące informacje: ks. rektor Szymański spędził wigilię Bożego Narodzenia w klasztorze OO. Dominikanów, gdzie się ukrywał, w gronie kilku zaprzyjaźnionych osób. W drugi dzień świąt przewieziono Księdza Rektora do Bełżyc karetką Czerwonego Krzyża, co dawało maksimum bezpieczeństwa w czasie przejazdu. Przewiezieniem zajmowali się: Mieczysław Tudrej, wówczas asystent przy katedrze prawa karnego na KUL, K. Gostkowski, mec. Ludwik Christians, pełniący funkcję prezesa lubelskiego Czerwonego Krzyża, który dostarczył karetki. Rozmowy przeprowadził z ks. Tomaszem Wilczyńskim ks. Zygmunt Surdacki, sprawujący obowiązki wikariusza generalnego diecezji lubelskiej. Motywem, którym się kierowano, wybierając Bełżycę na miejsce ukrywania się ks. rektora Szymańskiego, była m. in. bliska odległość do Lublina, co było ważne ze względu na podejmowaną akcję organizowania KUL w podziemiu. Liczne aresztowania chwilowo uniemożliwiły zrealizowanie tego projektu na terenie Lublina. (Nota Redakcji ZN KUL).

<sup>1</sup> W 1939 r., uwięziony za działalność kościelną i polityczną, został skazany na śmierć. Ułaskawiony odsiadywał karę dożywotniego więzienia w Oranienburgu. W lutym 1940 r. uwolniony z więzienia, najprawdopodobniej za staraniem Ojca św. Piusa XII, przebywał na wygnaniu w Nowym Sączu (diecezja tarnowska) do maja 1944 r. 10 lutego 1945 r. wrócił do Lublina i z miejsca przystąpił do leczenia ran zadanych przez wojnę duchowemu i materialnemu stanowi diecezji. Wiek, przeżycia więzienne, obozowe i ciężka dola wygnańca złamały jego długi i czynny żywot. Zmarł w Lublinie 18 grudnia 1945 r. w 80 roku życia, 57 kapłaństwa, 28 biskupstwa.

<sup>2</sup> Zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau.

<sup>3</sup> Poszukiwany wówczas przez Gestapo i stale wymykający się z jego rąk, został później aresztowany i zginął w nieznanych okolicznościach.

Tak też uczyniłem. Ksiądz Rektor propozycję moją przyjął chętnie, chociaż warunki zamieszkania w Bełżycach nie były zbytnio sprzyjające. Nawiasem dodam, że do Bełżyc przyjechałem z Lublina tylko z teczką, w kilkanaście godzin po otrzymaniu nominacji na tę placówkę. Mimo to jednak ksiądz rektor Szymański w Bełżycach pozostał.

W jakiś czas zaproponowano Księdzu Rektorowi gościnę w pałacu w Kozłowie k. Lubartowa. Gdy go o tym poinformowałem, odpowiedział, że nie jest przyzwyczajony do „wysokich progów” i jeżeli tylko swoją osobą nie sprawia kłopotów, woli zostać w Bełżycach, w gromadzie starych znajomych. I na tym też pozostało.

Parafianie, poza niewielką liczbą osób, nie wiedzieli, kim był i jakie stanowisko piastował przed wojną ks. Szymański. Ci zaś, którzy o tym wiedzieli, zachowali to w tajemnicy i z największą czcią odnosili się do osoby Księdza Rektora. Poczytywali sobie za zaszczyt złożenie mu uszanowania lub też przyjęcie go we własnym domu.

Niewielka przed wojną osada Bełżyce, w czasie okupacji zapełniła się przybyszami. W pierwszym rządzie przybyli ci, którzy stąd pochodzili, a pracując przed wojną na różnych stanowiskach, rozsiani byli po całej Polsce. Osiedlili się tutaj także i wysiedleni z włączonych do Reichu dzielnic Polski. Na brak towarzystwa nie można więc było narzekać. Księża z okolicznych parafii, przyjeżdżając do miasteczka, nigdy nie omijali plebanii, zawsze odwiedzając Księdza Rektora. Także z Lublina przyjeżdżali znajomi, przywożąc wiadomości o rozwoju sytuacji wojennej i nadzieje na bliższą i dalszą przyszłość. Można powiedzieć, że na miarę ówczesnych warunków ksiądz rektor Szymański w Bełżycach czuł się dobrze.

#### BYŁ W PIERWSZYM RZĘDZIE KAPŁANEM

Ksiądz Rektor miał czas na parafii zajęty, co stanowiło antidotum na skutki przeżyć wojennych. Wypełniał go w pierwszym rządzie kapłańską pracą duszpasterską. Jedynie poza wyjazdami na kolędę, fizycznie zbyt wyczerpującymi w mroźne dni zimowe lat 1940, 1941 i 1942, spełniał wszystkie funkcje duszpasterskie. Wiele przykrości sprawiało mu, jeżeli ktoś chciał go wyręczyć w pracy duszpasterskiej. „Chcę być pożyteczny – mawiał – na miarę moich sił i możliwości”.

Nigdy nie było problemu, który z nas pójdzie do konfesjonału, powie kazanie, pojedzie do chorego na wieś czy też do szpitala, który w pewnych okresach czasu

był wypełniony chorymi na tyfus. Ksiądz Rektor, jeżeli tylko odebrał telefon z wiadomością o potrzebie kapłana w szpitalu, nikomu nic nie mówiąc, pośpiesznie ubierał się i szedł, gdzie wzywano. W okresie Wielkiego Postu zawsze razem z nami szedł do konfesjonału i razem z nami wracał. Denerwował się, o ile wypadło mu wcześniej od nas wyjść z konfesjonału lub też przypadkiem później od nas zasiąść do słuchania spowiedzi.

Nie wiem, co o księdzu rektorze Szymańskim napiszą inni. Z mojej trzyletniej obserwacji wiem, że był on w pierwszym rzędzie kapłanem.

To prawda, że nie raz podziwiałem go, gdy wprost od przed chwilą wykonanej czynności duszpasterskiej lub po jakiejś rozmowie mógł zaraz usiąść przy lichym stole i zagłębić się w lekturze książki lub pogrążyć się w pracy naukowej. Ksiądz Rektor pracował wtedy nad przygotowaniem nowego wydania etyki społecznej. Ale i tę swoją pracę naukową traktował jako kapłańską służbę Bogu.

Przed wojną inicjator adoracji kapłańskich „na Zielonej”, pozostał im wierny do końca. Msza św., brewiarz, różaniec, spowiedź św, odprawiana co dwa tygodnie u stałego spowiednika, nieżyjącego już śp. ks. Władysława Szyszki – proboszcza z Wojciechowa – były praktykami regularnie przezeń wykonywanymi. Kaznodzieją, zwłaszcza dla słuchaczy bełżyckich, Ksiądz Rektor nie był. Głos miał cichy, wymowę trudną. Niekiedy sam prosił o wyznaczenie mu kazania. Najczęściej w kazaniach poruszał sprawę Łaski uświęcającej i wytrwania w niej. „Z obfitości serca usta mówią” – Łaską żył i najchętniej też o Łasce mówił. Gdy w okresie jednej Wielkanocy cieszyłem się z dużej liczby penitentów i przystępujących na Rezurekcji do Stołu Pańskiego (kościół pustoszał w miarę rozdawania Komunii św.), Ksiądz Rektor rzucił niechęący uwagę: „Byłe wytrwali oni w tym, co otrzymali”.

Jednej nocy, a było to w połowie września 1942 r., ks. Szymański dostał ataku serca. Była to – jak się później okazało — *angina pectoris*. Pomimo enigmatycznych zapewnień i nadziei czynionych przez lekarzy (zarówno miejscowych, jak i sprowadzonych z Lublina) felczer, stary praktyk, po zbadaniu chorego, oświadczył mi wręcz, że stan serca jest bardzo słaby i że Ksiądz Rektor umrze w ciągu dwóch, trzech tygodni.

Mimo podjęcia przez nas wszelkich możliwych wówczas starań, by uratować życie Księdza Rektora (dzięki pomocy ks. Surdackiego i K. Gostkowskiego sprowadzono do Bełżyc dra Voita), należało pomyśleć i o duchowym przygotowaniu chorego na śmierć. Wyłonił się wtedy problem, kto i w jaki sposób uprzedzi o tym chorego, aby przyjął ostatnie Sakramenta św. Niespodziewanie przyszedł nam tutaj z pomocą ks. proboszcz Szyszko, który swoim zwyczajem przyjechał w odwiedziny z Wojciechowa. Gdy powiadomiłem o jego przyjeździe

Księdza Rektora, leżącego jeszcze u nas na plebanii, ucieszył się i zaraz prosił ks. Szyszkę o spowiedź. Tego dnia, po południu, zawieźliśmy chorego do miejscowego szpitala, oddając go pod troskliwą i serdeczną opiekę nieżyjącego już dziś dra Władysława Grażewicza i jego żony Ewy. Gdy następnego dnia przyszedłem do ks. Szymańskiego z Wiatykiem, po przyjęciu Komunii św. uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Jak już robić, to robić wszystko, a więc proszę o Ostatnie Namaszczenie”. Tak więc sam chory rozwiązał problem ostatnich Sakramentów. Uczynił to tak, jak powinien uczynić każdy kapłan i każdy wierny. Praca naukowa nie tylko nie wysuszyła jego kapłańskiej duszy, ale wzbogaciła ją Bożą prawdą.

#### FRANCISZKANIN Z DUCHA

Zawsze podziwiałem u księdza rektora Szymańskiego franciszkańskie ubóstwo. Nie chcę przesadzać, ale to, co tutaj napiszę, nie będzie wcale przesadą.

Jeszcze przed wojną namawialiśmy Księdza Rektora, by przebudował fronton gmachu uniwersytetu. Odpowiedział nam wtedy, że Uniwersytet to nie fronton gmachu, ale jego ludzie, profesorowie. Na tego rodzaju rzeczy szkoda pieniędzy, których i tak za wiele nie mamy. Musimy wpierw kształcić na profesorów młodych ludzi. I na to nie szkoda nam będzie pieniędzy.

Wielu pamięta postać ks. Szymańskiego, gdy zimową porą, skulony w „podszycym wiatrem” jesiennym płaszczu, przechodził drobnym, szybkim krokiem ulicami miasta. Tłumaczyliśmy mu, że nie wypada, aby Rektor KUL nie miał na zimę przyzwoitego futra, że tak ubierając się, kompromituje KUL i marnuje swoje zdrowie. Odpowiadał nam wtedy żartobliwie, że futro na ramionach rektora nie stanowi chwały uniwersytetu, że ma blisko do domu i dojdzie doń również i w jesiennym płaszczu. Trzeba było dopiero podstępu z naszej strony, aby zaprowadzić go do krawca i zamówić futro, na małe, uprzednio ustalone raty. O tym futrze pamiętam, ponieważ później, będąc w Bełżycach, siłą je na mnie wkładał, gdy w mroźne dni styczniowe wyjeżdżał z kolędą do odległych wsi parafii.

Nie miał żadnej rzeczy materialnej, której by nie mógł się wyzbyć w jednej chwili i bez namysłu. Przychodziło mu to po prostu spontanicznie.

W okresie pobytu w Bełżycach martwił się często warunkami bytowymi byłych profesorów KUL, zwłaszcza tych z grona świeckiego, którym trudniej wówczas było utrzymać się aniżeli księżom profesorom, znajdującym materialne oparcie w pracy duszpasterskiej na parafiach. Gdy tylko otrzymał jakąś, niewielką nawet sumę pieniędzy, wiadomo było, że za kilka dni pojedzie do Lublina, aby ją

rozdysponować wśród potrzebujących profesorów czy innych byłych pracowników uniwersytetu. Gdy wojska niemieckie zajęły Lwów, stale posyłał znajdującą się tam pewnej rodzinie profesorskiej zarówno paczki żywnościowe, jak i pieniądze. Ponieważ niezbyt orientował się, co znaleźć się powinno w takiej paczce żywnościowej, prosił innych, aby zakupili potrzebne artykuły i paczkę wysłali pod wskazany adres. Dziecinną wprost radością cieszył się, gdy tylko mógł komuś materialnie pomóc.

Aby uregulować jakoś jego materialne warunki, a zarazem dać możliwość udzielania, chociaż w małym zakresie, pomocy gronu profesorskiemu, zaproponowałem Księdzu Rektorowi, aby przejął ode mnie stanowisko administratora parafii. Propozycję tę ze śmiechem odrzucił. Wówczas, z pewnym strachem, zaproponowałem, aby zgodził się przyjąć nominację na wikariusza, do której przywiązane jest proporcjonalne wynagrodzenie za posługi duszpasterskie. Z początku zachnął się, ale gdy powiedziałem mu, że w ten sposób będzie miał zapewniony stały fundusz nie tylko na swoje najkonieczniejsze wydatki, ale także będzie mógł wydzielić z niego pewną kwotę na pomoc materialną innym, uśmiechnął się i powiedział, że wobec tego zgadza się zostać wikariuszem parafii Bełżyce. Zazaczył przy tym, że będzie to wątpliwy zaszczyt dla Bełżyc. Odpowiedziałem, że chyba jeszcze mniejszy dla Księdza Rektora. Po dłuższym wyjaśnianiu sprawy ks. inf. Józefowi Kruszyńskiemu, ówczesnemu wikariuszowi generalnemu diecezji lubelskiej, sprawa nominacji Księdza Rektora została pozytywnie załatwiona.

Ksiądz rektor Szymański nigdy nie posiadał w kieszeni więcej niż kilkadziesiąt złotych. Dosłownie wszystko, co miał, oddawał biednym i potrzebującym. A i te kilkadziesiąt złotych gotów był oddać pierwszemu lepszemu żebrakowi. Niebezpiecznie było pochwalić jakkolwiek drobiazg, własność Księdza Rektora, aby nie oddał go chwalcemu.

I jeszcze jedna charakterystyczna cecha tej „franciszkańskiej” osobowości księdza rektora Antoniego Szymańskiego. W sposobie bycia, obcowania z drugimi, w wypowiedziach zawsze był prosty i szczery. Ta prostota i szczerść zjednywała mu wielu, i to na stałe, przyjaciół. Ale była ona też i źródłem uprzedzeń i niechęci do niego, zwłaszcza ze strony tych, którzy nie spełniali swoich obowiązków. Można to zastosować do studentów, którzy przychodzili doń na egzamin nieprzygotowani, licząc na szczęście.

Przy bliższym poznaniu jednak Ksiądz Rektor nie tylko nie tracił, lecz zyskiwał na opinii.

## KUL – JEGO UMIŁOWANIE

Zamknięcie przez okupanta uniwersytetu, rozproszenie się profesorów i studentów przeżywał tragicznie. Jest to całkiem zrozumiałe, jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że najpiękniejsze lata jego dojrzałego życia nierozzerwalnie były związane z tą katolicką uczelnią. Jej poświęcił całkowicie swe nieprzeciętne zdolności, swą wiedzę, talent pedagogiczny, całe swoje życie. Prace naukowe i wychowawcze na KUL pojmował zawsze jako coś stałego, a nie przypadkowego i zależnego od koniunktury. Zapytałem kiedyś przypadkiem Księdza Rektora o jednego z profesorów, który w okresie międzywojennym opuścił KUL, przyjmując propozycję profesury na państwowej wyższej uczelni. Określił go jednym słowem: „karierowicz”. Takiego nigdy nasz uniwersytet nie mógłby przyjąć, chociażby nawet był w największej potrzebie, bo to człowiek, na którego nie można liczyć.

Marzył o zrealizowaniu swoich przedwojennych planów wychowania i wykształcenia nowej, młodej kadry pracowników naukowych, oddanych całkowicie uniwersytetowi. W rozmowach na ten temat często wspominał o Czesławie Martyniaku, w którym pokładał duże nadzieje. Cieszył się każdym studentem, byle tylko był on z prawdziwego zdarzenia.

O ile mnie pamięć nie myli, ksiądz rektor Szymański pierwszy rzucił myśl, jeszcze w latach przedwojennych, naukowego złączenia się z KUL-em Lubelskiego Seminarium Duchownego. Myśl ta doczekała się realizacji dopiero w kilka lat po wojnie, kiedy jej inicjator już nie żył.

Prawdziwym świętem były dlań godziny spotkań z którymś z profesorów lub wychowanków KUL. Spotkania miały miejsce bądź w bełżyckiej plebanii, bądź też u nich w domu. Księdza Rektora odwiedzali często w Bełżycach księża profesorowie: Zdzisław Goliński, Piotr Kałwa, Aleksy Petrani, Piotr Stopniak, Stefan Wyszynski... Przyjeżdżał tu także prof. Klonowiecki, mieszkający w oddalonym o kilkanaście kilometrów Motycz. Na propozycję odwiedzenia prof. Klonowieckiego Ksiądz Rektor ubierał się i po paru minutach gotowy był do wyjazdu.

Z najczarniejszych myśli okupacyjnej nocy można było wyrwać księdza rektora Szymańskiego zwyczajną wzmianką o Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Przypomina mi się tu taki epizod. Mieszkała w Bełżycach, i była moją parafianką, jedna z byłych studentek KUL, której kiedyś nie powiódł się egzamin u księdza rektora Szymańskiego. Wówczas to uczynił on jej jakąś ostrzejszą uwagę i polecił powtórzyć egzamin. Przyjazdem ks. Szymańskiego była bardzo zaskoczona. I kiedyś ta właśnie pani powiedziała mi: „Ksiądz Rektor staje się przemiłym człowiekiem, gdy rozmowę z nim sprowadzi się na sprawy KUL.



Dobrze, że nie pamięta mojego niefortunnego egzaminu, który przecież odbywał się też na KUL”.

A kiedy w Krężnicy Jarej reaktywowano, z niewielką liczbą profesorów i kleryków, diecezjalne Seminarium Duchowne, ksiądz rektor Szymański zaraz podjął się prowadzenia tam wykładów. I zawsze z radością, w pogodę, słońce czy mróz, jechał z Bełżyc wozem konnym do Krężnicy, nie zważając na niewygodę podróży, szczególnie przykrej w okresach jesiennych szarug i zimowych mrozów. Każdego następnego wyjazdu do Krężnicy oczekiwał Ksiądz Rektor z radością, wykłady bowiem, jakie prowadził dla alumnów, były dlań namiastką jego uniwersyteckich wykładów.

Wszystko i wszyscy, którzy przypominali mu KUL, stanowili część jego ukochania. Przedziwnie wielkiego ukochania.

#### PRZYCZYNY PRZEDWCZESNEJ ŚMIERCI

Problem ten należy raczej do zakresu medycyny niż do osądu w tych sprawach laika. Obserwując jednak z bliska ostatnie lata życia śp. księdza rektora Antoniego Szymańskiego, można było wyczuć to, co załamało w nim siły żywota.

Ksiądz Rektor nie mógł spokojnie przeżyć tragedii września 1939 r. Raz po raz do niej powracał, analizował przyczyny klęski, szarpiąc sobie tym nerwy i serce. Jego ręce coraz bardziej trzęsły się ze zdenerwowania. Będąc z natury wrażliwy, z dużym wysiłkiem hamował w sobie to, co go denerwowało i wyprowadzało z równowagi. Mieszkający na plebanii bełżyckiej dwaj klerycy – dziś już księża: Michał Dudkowski i Czesław Wiśliński – nieraz zauważali, jak Ksiądz Rektor musiał opanowywać swe nerwy pobudzone czy to głośniejszym zamknięciem drzwi, czy też czymś nieodpowiednim zachowaniem się przy stole. Aresztowanie i przeciągające się przez październik, listopad i grudzień 1939 r. internowanie także ujemnie wpłynęło na jego zdrowie.

Mieszkając w Bełżycach, co kilka tygodni wyjeżdżał do Lublina, aby zasięgnąć opinii o możliwościach otwarcia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, łudząc się, że byłoby to możliwe w warunkach okupacji. Z takich podróży wracał zawsze przygnębiony, nerwowo roztrzęsiony i przez kilka następnych dni chodził milczący i zamknięty w sobie. Zgłaszano do mnie pretensje, że „puszczam” Księdza Rektora do Lublina. A przecież wydanie zakazu przekraczało moje kompetencje; z drugiej zaś strony byłoby to z mojej strony ogromnym nietaktem w stosunku do gościa, który w dodatku był rektorem uniwersytetu, ja zaś tylko administratorem, i to tymczasowym, przeciętnej parafii.

Jego siły fizyczne, tak bardzo nadszarpnięte przejściami wojny i zwłaszcza pierwszych miesięcy okupacji, do reszty zrujnowały niektóre wypadki zaistniałe w okresie pobytu w Bełżycach. Wspomnę tu o kilku z nich.

Było to w 1942 r. wkrótce po Wielkanocy, w okresie dużych roztopów wiosennych. Wśród głuchoj nocy zaczęto gwałtownie dobijać się do drzwi i okien pogrążonej we śnie plebanii. Ten nocny niespodziewany alarm postawił nas momentalnie wszystkich na nogi. Przez dłuższy czas siedzieliśmy milcząc, nie odpowiadając na owe dobijania się. Naraz słyszymy dochodzący z zewnątrz głos: „Gestapo! Otworzyć!” Nie było więc rady, musieliśmy drzwi otworzyć. Wtedy wszedł gestapowiec z gotowym do strzału rewolwerem, skierowanym w naszą stronę, a za nim bodaj dwóch Niemców z karabinami i znajomy policjant granatowy. Policjant szepnął, że jakiś ksiądz z sąsiedztwa, zatrzymany w areszcie, uciekł i teraz chcą zabrać na jego miejsce kilku księży. Wprawdzie ten nocny napad skończył się tylko moim aresztowaniem, ale dopiero po dłuższych tłumaczeniach i wyjaśnieniach, że ksiądz rektor Szymański jest moim gościem i nie ma nic wspólnego z poszukiwanym uciekinierem. Ksiądz Szymański stał już ubrany w płaszcz i słyszał skierowaną pod jego adresem groźbę rozstrzelania w południe następnego dnia. Był wtedy u kresu swej wytrzymałości nerwowej.

Wiadomość o upadku Paryża wywołała w społeczeństwie polskim ogromny wstrząs. Los zrządził, że sprawa skutków politycznych i ekonomicznych spowodowanych kapitulacją Francji była u nas omawiana w gronie osób, wśród których znajdował się przedwojenny dyrektor jednego z przedsiębiorstw śląskich. Dyrektor ów wyjął notes i zaczął nam dowodzić – a uważaliśmy go wszyscy za wybitnego specjalistę w dziedzinie przemysłu – że Niemcy po zajęciu Francji bez trudu zajmą całą zachodnią i południową Europę i swą potęgą przemysłową górować będą nad Anglią i Ameryką. W konsekwencji – dowodził dyrektor – Niemcy wojnę muszą wygrać i wygrają. Każdy z nas, słuchając tego, był bardzo podniecony i zdenerwowany, ale może najbardziej Ksiądz Rektor. Nigdy nie wierzył w zwycięstwo Niemiec; przynajmniej takiej możliwości nie ujawniał w słowach. Teraz w jego oczach pojawiły się łzy. Nerwowo chodził po pokoju, trzymając ręce swoim zwyczajem w kieszeniach sutanny i robił wrażenie mało przytomnego. Uspokoił się dopiero wieczorem, gdy na plebanię przyszedł niemiecki podoficer – salezjanin – z pochodzenia Bawarczyk. Również i on był bardzo zdenerwowany tym zwycięstwem Niemiec nad Francją i szalem radości płynącym z radia berlińskiego. Przewidywał jednak wystąpienie Ameryki, zniszczenie bombardowaniami Niemiec i taką klęskę swego narodu, jakiej jeszcze w historii on nie doświadczył. Był już człowiekiem starszym. Brał udział w I wojnie światowej i przeżył walki pod Verdun. Był to dziwny żołnierz. Po

rozkazie Brauchitscha – zabraniającym żołnierzom niemieckim korzystania z posług religijnych u polskich księży, przyszedł do mnie z wiadomością o tym rozkazie i oświadczył, że rozkazu nie usłucha. Na dowód tego natychmiast poprosił o spowiedź. Codziennie o wczesnych godzinach rannych, przy zamkniętych drzwiach kościoła, przystępował do Komunii św. A kiedy zostałem aresztowany, odwiedził mnie w więzieniu i z uśmiechem powiedział: „Proszę się tym nie przejmować. Każdy porządny, nawet Niemiec, siedzi dzisiaj w więzieniu lub w obozie. Cóż mówić o Polakach. Was skazali na zagładę”. Była to dla mnie mała wprawdzie pociecha, ale była.

Ostatnie z przykrych przeżyć osobistych księdza rektora Szymańskiego miało miejsce latem 1942 r. Ksiądz Rektor wyjechał do Lublina. Do Bełżyc wracał końmi; była to niedziela. Bodaj, że poprzedniego dnia w Konopnicy zabito volksdeutscha. Podobno był to zwyczajny złodziejaszek, który swą świeżą przynależność do „rasy panów” wykorzystywał do dokonywania bezkarnych, jak dotąd, napadów rabunkowych, których ofiarami byli okoliczni mieszkańcy. Okupant i tu zastosował zbrodniczą zasadę: za jednego zabitego Niemca – winno zginąć stu Polaków. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Ksiądz Rektor, wracając z Lublina, przejeżdżał przez Konopnicę właśnie wtedy, gdy przeprowadzano tam akcję zabierania mężczyzn, których następnie rozstrzelano pod ścianą murowanej obory w pobliskim majątku Radawiec za Motyczem i na skraju lasu, położonego po prawej stronie szosy prowadzącej z Radawca do Matczyna. Schwytanych w Konopnicy mężczyzn lokowano w rowie przy szosie. Gdy bryczka wioząca księdza rektora Szymańskiego zbliżyła się do miejsca obławy, zatrzymano ją i rozkazano wysiąść Księdzu Rektorowi. Zapytany, czy to on jest proboszczem stojącego w pobliżu kościoła, odpowiedział, że jest profesorem i rektorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i jedzie z Lublina do Bełżyc. Mimo to polecono mu usiąść w rowie, wśród skazańców, oświadczając, że zastąpi on miejscowego księdza, który uciekł. Ksiądz Rektor, podobnie jak i każdy znajdujący się w tej sytuacji, wiedział, co go teraz czeka. Na szczęście przejeżdżał szosą jakiś wyższy oficer niemiecki, który zatrzymał się przed siedzącym już w rowie Księdzem Rektorem, zapytując o okoliczności, które go tutaj sprowadziły. Nie wiadomo, czy oficer ten należał do działającej w okolicy ekspedycji, jednak zwolnił on Księdza Rektora i kazał mu pieszo iść do Bełżyc, oddalonych stąd o około 14 km. Ksiądz Rektor wstał i poszedł – zupełnie nerwowo roztrzęsiony. Dopiero późnym wieczorem – zupełnie wyczerpany fizycznie i psychicznie – przyszedł do majątku Radawiec, w którym to Niemcy rozstrzelali zatrzymanych zakładników. Wszedł do jednego z mieszkań służby folwarcznej i spędził w nim bezsennie noc, wsłuchując się, ze ściśnionym bólem sercem, w karabinowe

salwy, krzyki i jęki mordowanych. Wczesnym rankiem ruszył w dalszą drogę do Bełżyc, przechodząc obok zbryzganej krwią niewinnych ofiar hitlerowskiego terroru folwarcznej obory i ich wspólnego grobu-dołu wykopanego na skraju lasu, kryjącego bodaj ponad sto ciał. On jeden cudem ocalał z tej masakry, ale do Bełżyc powrócił zupełnie załamany fizycznie i duchowo.

Przedtem, w spokojnych godzinach pobytu w Bełżycach, Ksiądz Rektor pracował nad nowym wydaniem etyki. Teraz, gdy sam przeżył tragiczny fakt, jak to przepisy etyki ludzkiej wyglądają w hitlerowskim wydaniu, w wydaniu niby to kulturalnego „narodu panów”, od tego momentu nie mógł już usiąść do kontynuowania swej pracy nad etyką. W ogóle był po prostu rozbity. Twarz jego jeszcze bardziej się pomarszczyła i zmalała, a ręce gwałtowniej trząść się zaczęły. Dawniej pogodny i uśmiechnięty przy każdym spotkaniu z przyjaciółmi i znajomymi, stał się teraz milczący i posępny. I bodaj to wówczas, będąc w Krzu, Ksiądz Rektor miał powiedzieć, że końca wojny nie doczeka, że źle się czuje na serce.

#### IN TERRA VIVENTIUM

Ksiądz Rektor nikomu z nas, mieszkających z nim na bełżyckiej plebanii, nie powiedział o złym stanie swego zdrowia i dolegliwościach sercowych. Aż do momentu wspomnianego już nocnego ataku *angina pectoris* nie wiedzieliśmy nic o jego dolegliwościach i cierpieniach. Po pewnym czasie przyszedł drugi, bardzo bolesny atak. Wtedy Ksiądz Rektor znajdował się już w szpitalu. W kilka dni po tym ataku, wracając końmi z Lublina, wstąpiłem do szpitala, aby dowiedzieć się o stan zdrowia Księdza Rektora i w miarę możliwości zobaczyć się z nim. Na korytarzu szpitalnym spotkałem dra Władysława Grażewicza, który poinformował mnie, że stan chorego jest ciężki, jeżeli nie beznadziejny. Księdza Rektora zastałem bardzo wyczerpanego fizycznie. Powiedział mi krótko: „Trzeciego ataku już nie przetrzymam. Będzie on chyba krótki... To bardzo boli...”

Tego dnia wieczorem, około godziny 21 zatelefonował do mnie dr Grażewicz: „Muszę zakomunikować przykrą wiadomość... Ksiądz Rektor Szymański przed chwilą zakończył życie... Atak był nagły, krótki, ale bardzo bolesny... Niech odpoczywa w pokoju”.

## OSTATNIA DROGA KSIĘDZA REKTORA

Śmierć śp. Księdza Rektora Antoniego Szymańskiego nastąpiła wieczorem 9 października 1942 r., a czwartego dnia, tj. 13 października, odbył się pogrzeb. Licznie przybyli nań księża z okolicznych parafii. Także i z Lublina przybyło wielu księży – przyjaciół Zmarłego – i osób świeckich, związanych z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim bądź to przez swą bezpośrednią pracę naukową, bądź przez Towarzystwo Przyjaciół KUL. Niestety większość przyjaciół i znajomych, rozproszona zawieruchą wojenną po kraju, nie mogła oddać ostatniej posługi swemu ukochanemu Profesorowi i Rektorowi.

Dzień pogrzebu Księdza Rektora był dniem krwawego mordu Żydów bełżyckich i przywiezionych tu przed kilku miesiącami ze Szczecina i Wiednia. Potwornego mordu dokonywało Vernichtungskommando. Miasteczko pogrążone było w potwornej, grobowej ciszy, rozdzielanej salwami karabinów i pojedynczymi strzałami rewolwerowymi. Ciała pomordowanych ściągano na wielką przymę koło bożnicy i układano na razie w stos. Był to wstrząsający widok... Skamieniała cisza... Żadnego krzyku czy jęku... Żadnego odruchu samoobrony...

Przybyli na pogrzeb wierni wypełnili szczerze wnętrze parafialnego kościoła. Słóczeni, z rozszerzonymi przerażeniem źrenicami, wpatrywali się w stojącą pośrodku trumnę. Zdziwili się, gdy wszedł na ambonę ks. infułat Józef Kruszyński, poprzednik Zmarłego na stanowisku rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Żałobny śpiew brzmiał w kościele inaczej niż zwykle. Był bardziej głuchy, przyciszony i niepewny... Obejmował wszystkich, którzy konali... „Dobry Jezu a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie...”

Dwi drogi wiodą z bełżyckiego kościoła na cmentarz. Jedna przez rynek i ulicę Urzędowską, druga krótsza, bardziej w tym czasie błotnista, wiedzie pomiędzy kilku domami i warzywnymi ogrodami.

Nie wiem, co mi wtedy przyszło do głowy, aby ciało prowadzić na cmentarz tą dłuższą drogą, biegnącą właśnie tam, gdzie rozgrywały się potworne sceny mordu.

Pobiegłem do Stanisława Szubartowskiego, ówczesnego wójta Bełżyc, z zapytaniem, czy można przejść tą drogą z konduktem pogrzebowym. Szubartowski, bardzo zdenerwowany, coś mi odburknął, wróciłem więc z powrotem do kościoła. Po chwili poszedłem po raz drugi do niego ze swoją nieprzemyślaną propozycją. Wtedy, krzycząc na mnie, powiedział te słowa, które do dnia dzisiejszego doskonale pamiętam: „Czy ksiądz nie widzi, co się tutaj dzieje?... Czy ksiądz nie zdaje sobie sprawy, że to nie ludzie, ale dzikie zwierzęta harczą? Szef

ekspedycji ma cały mundur, twarz i ręce poplamione ludzką krwią... Mało księdzu tego... Chce ksiądz i innych narazić na śmierć?”

Przeżony wróciłem do kościoła, skąd możliwie najciszej i najkrótszą drogą prowadziliśmy trumnę z ciałem śp. Księdza Rektora Szymańskiego na miejscowy cmentarz. Tam złożyliśmy ją w wypożyczonym grobowcu, aby w stosownej chwili przenieść ją do Lublina, z którym śp. Zmarły tak bardzo blisko i serdecznie był związany przez swą profesurę, a następnie rektorat na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

W niespełna cztery lata później, w 1946 r., nastąpiła ekshumacja zwłok. Gościnna ziemia bełżycka oddała doczesne szczątki Zmarłego Wygnańca, które przewieziono do Lublina, spoczywają na cmentarzu przy ulicy Lipowej.



Wspólny grób księży Idziego Radziszewskiego i Antoniego Szymańskiego na cmentarzu przy ulicy Lipowej w Lublinie. [Dodatek Redakcji „Summarium”]